EZOTER

MIESIĘCZNIK
POETYCKI

KRAKÓW

TREŚĆ:

Redaktor naczelny: *LUCJAN PATRYCY*
Redaktor odpowiedzialny: *WŁODZIMIERZ MIHAL*
Wydawca: Koło art. lit. *„EZOTER“*

Adres Redakcji i Administracji: Kraków, ul. Św. Marka 25. III. p.
Redaktor przyjmuje w soboty od godz. 15—16.

WARUNKI PRENUMERATY:
Kwartalnie zł. 2.80, półrocznie zł. 5.30, rocznie zł. 10.—
Numer pojedynczy 1 zł.

Redakcja nie zwraca drobnych rękopisów. Utwór, o którego druku autora redakcja nie zawiadomiła w ciągu miesiąca od chwili nadesłania, jest odrzucony. Redakcja nie podejmuje się oceny rękopisów.

EZOTER

MIESIĘCZNIK POETYCKI

LIPIEC 1928
ROK PIERWSZY :-: ZESZYT PIERWSZY
KRAKÓW

CZCIONKAMI POMORSKIEJ DRUKARNI ROLNICZEJ S. A. W TORUNIU

Jedyną istotną rzeczywistością jest SŁOWO. W użytkowności dnia codziennego zatraciło Ono swój blask, świetność, świętalność Majestatu i Siłę.

W ściekach „praktyczności” zagubiło swe Piękno — stało się wyświechtanym łachmanem królewskim, nad którym potrafią jeszcze łzy zachwytu wyciskać niedorozwinięte umysłowo pensjonarki . . .

Artystycznego wyrazu PRAWDA zginęła pod nalotem szybkostrzelnych frazesów. Codzienna treść znalazła dla siebie zaiste zbyt dowolną, codzienną formę.

A życie na tem nic nie zyskało! — nie stało się Poezją! Ta ostatnia natomiast, przez nieopatrzne i niepotrzebne zgoła aktualizowanie skrawków życia — upadła nisko! Rozlała się w brudnej kałuży cuchnącego potu i w pseudo-dowcipnych podskokach wspina się mozolnie na zaszczytną drabinę . . . informującego feljetonu dziennikarskiego!

Dość już mamy elektrotechnicznych, maszynowych, telefonicznych, telegraficznych i radjowych uwielbień! Nie jesteśmy inżynierami, ani nawet monterami!!

W poezji nie szukamy „wiadomości technicznych” — wogóle kultury materjalnej, bo ona jest zewnętrzną, szybko przemijającą stroną życia — ale dążymy do kultury wewnętrznej, duchowej, która jest wieczną, a przeto tylko ona istotny wyraz i wartość epoki odzwierciedlić może.

*Konkretnie: **w Poezji chcemy odczuwać tylko Poezję** — nic więcej!*

Przekreślamy wszelki Utylitaryzm i kastowe Społecznikostwo.

Ociekające eliksirem życia SŁOWO — jest dla nas CZYNEM z krwi.

Bez Formy — Treści poetyckiej nie uznajemy!

Prawdziwy artysta nawet w najwyszukańszej formie wyrazić zdoła każdą istotną Treść, która musi być obrazowości i uczuciowości pełną, artystycznie odsłaniającą wieczne tajemnice psychiki ludzkiej!

Dlatego nie odrzucamy nawet „przebrzmiałych" Form wieszczów naszych, ale zmieniamy je, nasycając naszą, współczesną Treścią.

Przedewszystkiem: Piękno i Prawda artystycznego wyrazu, a następnie — możliwie najjaśniejsza objektywizacja Prawdy w Pięknie.

Uznajemy hierarchję słów i tematów.

Nie każde słowo i temat nadają się do Poezji:

Pragniemy SŁOWOM przywrócić dawną siłę i istotne Znaczenie!

Budujemy Poezję prawdziwą, świadomą swych wewnętrznych zadań a pierwszą gołębicę Jej ewangelji puszczamy w świat — ***ezoteryczny estetyzm!***

OD NATURY DO CZŁOWIEKA

Wieczorne rosy jak sny kładą się w mroku na polach,
Na ściętych rżyskach, jak łzy na ostrych nożach — w bolach.
Gdzie jesteś myśli?! — — —
Wionęły znowu tu bzy wiosennych wspomnień powiewem,
Biały akacji szron z mgły — splótł grzech słowika ze śpiewem.

O sny pól cichych! sny łąk zatrute miąższem zieleni,
I lasy szumiących mąk i nimfy leśnych strumieni:
Zatańczcie w krąg! . . .

Gdzie skały kościsty zrąb wiatr smaga stustrunnym biczem,
Gdzie strasznych zapomnień dąb grozi odwetu obliczem:
Tam w pląsach w krąg! . . .

To igrców obłędny wzrok roztrąca kroplistość rzeki,
Świetlistość przemienia w mrok — przybija do ócz powieki . . .
Ciemności wkoło! . . .

Strasznie wesoły ten skok ze światła w ponure ciemnie!
A w duszy wylęgły smok pożera nieba i ziemie . . .
Strasznie wesoło! . . . — — —

Zebrałem słodycze z rąk łaknących spokoju ciszy,
Miód spiłem z pożółkłych ksiąg — melodje z pękniętych uszu
Związałem w bukiet serc!! . . .

ŁOWCA GWIAZD

Płochliwe sarny nieba
Chwytam w mgławicy siecie —
Promieniem słońca wiążę;
Róg każdy zdobię kwieciem.

Potem ognistym wozem
Na kołach z piór łabędzich,
Dzikich rumaków szałem
Obłęd mnie w przestrzeń pędzi.

W przód rwących w pierwszej czwórce:
Saturna i Jowisza,
Słodką Wenerę, Marsa —
Bat woli mej ucisza . . .

Języki ognia w rękach,
Jak lejce trzymam twardo —
I z pod niebieskich turni
Patrzę na ziemię z wzgardą . . .

Przedemną słońce gaśnie!
— A wiecznie chory księżyc,
Cynowy kark z przestrachu
Łukiem pokory pręży.

Skaliste czoło moje
Wieniec mi gwiazd umai —
Ja-m groźny władca nieba!
Jam król nadgwiezdnych krain!! . . .

POWROTY

Złoty promieniu
na czarnym stole —!
twa jasność kole
myśli w wspomnieniu
marzeń dziecięcych . . .
Nic ich nie zmieni,
nie zatrze więcej,
choćby z zieleni
na lśniącej łące:
nigdy już potem
kwiaty pachnące
nie piły życia —
choćby pokotem
legły zatrute
na suchej trawie . . .

Teraz mi łzawy,
dojrzały smutek
oświeca drogę
wiecznych powrotów
w krainę dziecka . . .
Bóle przemogę,
i z ptaka lotów
wywróżę sobie:
czy sieć zdradziecka
już zastawiona
na moją duszę . . .
Potem wyżłobię
na sypkim piasku:
kameleona,
i w drewna trzasku
nastawię kuszę
z płonącą strzałą.

W samo południe
pójdę na pole,
na łąkę małą:
zrywać kąkole,
bo zboże chudnie
od jadu krasy . . .
Pod szmerem lasu
głowę położę —
wilgotne liście
będą mem łożem —
jedliny kiście
zwisłe nad skronią:
o czarach życia
pieśń mi wydzwonią . . .

Wiatru poszumem,
co gdzieś z ukrycia
groźne pomruki
wysyła chmurom,
napełnię dumę
skalistą górą
zuchwałych rojeń —
dzięcioła stukiem
serce wybije
chwile upojeń . . .
I smutki czyjeś
kołysać będę
łzami rozkoszy,
myśli obłędem . . .

Wioną mi astry
radości wiewem —
pokroję słońce
na miodne plastry
i stanę w kole
głodu i nędzy —

z promiennym śpiewem
podawać będę
spragnionym rzeszom
karm na ich bole . . .

Złoty promieniu
na czarnym stole —!
myśli nie grzeszą:
w dziecka wspomnieniu!!

ORACZ SKAŁ

Rzucony w przestrzeń bezmiaru,
Co wokół pustynię otacza,
Ujrzałem wśród słońca skwaru
Znojnego skał twardych oracza.

Spalony wichrami trudu
Z pochyłą szedł głową za pługiem . . .
Olbrzym, genjalny bóg ludu,
Kamienną rwał z ziemi trosk smugę!

Zdumiony bezpłodną pracą
I żmudnym wysiłkiem tytana
Spytałem: „powiedz mi, na co
Jałowe rwiesz skały od rana?"

A on mi cicho odpowie:
„W kamieniu, co łzami go kruszę,
Zgubioną już niegdyś w głowie,
Chcę znaleźć napowrót swą duszę". . .

LUCJAN PATRYCY

POSZUMY WIOSENNE

Znowu przychodzisz . . . w ekstazie słonecznej
by serce mych natchnień obudzić pieszczotą
wonną, jak słowa twe słodkie — tęczowe —
i żądze płomienne rozniecić tęsknotą . . .

Lśniącym błękitem upojnej błogości
całujesz mą duszę: modlitwy codzienne.
Znowu przychodzisz . . . by radość hymnami
wplatać promienną w me życie niezmienne . . .

Świętem wcieleniem jest każde marzenie
gdy noc je księżycem nie uśpi . . . z zazdrości . . .
Przychodzisz . . . by w złotych szczebiotach ptaszęcych,
znów mi się oddać . . . znów skonać z miłości! . . .

W rozkoszy niebiańskiej kwitniemy — złączeni
młodością — jak drzewa w gorących objęciach
słońca . . . na żniwa przyszłe, na wieczność —
co Bogiem z naszego urodzi się szczęścia! . . .

WIERSZ O . . .

Z zamglonej dali, gdy ją wiatry orzeźwią —
wchłaniam, jak radość, pogodę o sobie . . .
I chociaż tak rzadko i mało mi mówią
ludzie o szczęściu . . . wciąż myślę o Tobie.

Wczoraj mi księżyc przypomniał marzenia,
jakiemi w dzieciństwie swą duszę karmiłem —
a później o Twoich wszczął szeptać zwierzeniach
i o mnie: kim jestem, a kim dawniej byłem . . .

Z rzewną czułością kładłem dłonie szczęśliwe
na miłość słów srebrnych tęskniącą w zachwycie
gwiazd — za tą jedną, nienazwaną chwilę,
co cicho zakwita i więdnie jak życie . . .

Modliłem się do Ciebie . . . A słodkie sny moje
u stóp swych przeznaczeń się kładły baśniami,
jak w suchym upale mdlejące powoje,
by Tobą o świcie . . . gdzieś . . . zniknąć z gwiazdami.

EROTJA

STEFIKOWI . . .

Dzień ciepły, cały w słońca grze,
modremi uśmiechami
owionął Cię, ach! szczęście me,
jak sen pocałunkami.

Wokoło wiosna . . . Czarem drżą
Twe usta rozchylone,
do których pęki słońca lgną
tęczami roztańczone.

I mówisz mi i szepcesz mi
jak dzieciak niespokojny,
że Ci się zawsze miłość śni —
i jakiś dreszcz upojny . . .

Erotjo ma! Spełniony śnie!
O plenna ma błogości,
co wiosną ócz swych skuwasz mnie
i szczęściem swej miłości!

Rozkoszy ma! Sezamie słów!
Naiwności wypieszczona
różanym nimbem wonnych snów —
Erotjo rozmarzona! . . .

Niebieski dzień . . . Wiosenna woń
upaja Cię fiołkami,
Ty drżysz . . . jak w śnie, a Twoją skroń —
pot wieńczy perełkami . . .

DO LUDWIKI ŚNIADECKIEJ

Gdy oczy Twe smutne, kiedyś, niespodzianie
znów czyjaś miłość rozwiośni tęczami —
nie płacz, nie narzekaj, i niech żal Ci nie będzie
tych . . . o mnie . . . snów cichych, pieszczących baśniami.

Niech serce Twe dobre zapomni o szczęściu
chwil błogich, co niegdyś były wspólnem spojrzeniem
dwóch światów dziecięcych . . . Niech zdławi sny złote —
a mię Twem słonecznem niech przeklnie imieniem . . .

WŁODZIMIERZ MIHAL

O LISTONOSZU, KTÓRY ZAWSZE RPZYNOSIŁ DOBRĄ NOWINĘ.

Nikt z was nie może powiedzieć, że nie ma w domu swoim drzwi lub furtki, któreby bodaj raz na dzień czegoś nie czekały. — Zwykle wtedy nie chcą się szczelnie domykać lub zacina się drżąca klamka. Godzinami nieraz patrzyłem w drzwi, które czekają kogoś lub czegoś, całe zasłuchane, z zawiasów ku schodom się wyrywające, zdolne z trzaskiem rozbiec się w dwie strony, jeśliby tylko na klamce spoczęła dłoń, choćby jak oddech lekka. Słyszą one wtedy kroki cienia idącego po ścianie i liczą każde „Tik-Tak“ zegara. Tętno na skroni liczą. Aż zadrżą i zatrzęsą się, gdy schód poda scho-do-wi wieść:

I D Z I E!

Tak czekają zwykle drzwi kogoś lub czegoś, a jakże musiały czekać listonosza, który zawsze przynosił dobrą nowinę. Przesuwał się na palcach — zawsze niespodziany i uśmiechał się do rozjaśnionych drzwi, gdy list zaszeleścił i zastukał w puszkę. Czasem zadzwonił i stawał we drzwiach cichą radością i gubił miękkie kroki po schodach, gdy spłoszył go krzyk szczęścia. Nosił pękatą torbę, dobrych listów jak owoców pachnących pełną. Były w niej listy zaróżowione myślą o powitaniu, były czerwone niby wargi całowane, były niebieskie dalekiem niebem, były zielone napęczniałe wiosną, były białe, miękkie i ciche (matka tęskni . . .), ale nigdy nie było w niej białych listów o czarnych obwódkach. Rozdawał je bowiem listonosz, który zawsze przynosił dobrą nowinę.

Gdy listonosz wchodzi do kamienicy, wszyscy biegną do drzwi, do puszek i pytają: „Niema listu do mnie?“.

On tylko jeden wolny był od tych pytań, bo ludzie dłonią przyciskali bijące serce i tylko przez szparkę lub dziurkę od klucza patrzyli, czy ręki list trzymającej ku ich drzwiom nie podniesie. Nikt nigdy nie miał odwagi pytać go o list z wyjątkiem jednego człowieka. Ten zawsze o jednej godzinie stał oparty o czerwone sztachety — czarno ubrany, milczący i blady. Ten pytał codzień. A pytał przez nałóg — przywykł. Nigdy nie patrzył na listonosza i obojętnie odbierał od niego „Nic niema“, jak codzienne: „Dzień dobry“. Potem odchodził w głąb ogrodu i czerwieniły się żywiej sztachety, gdy za niemi przesuwała się czarna plama.

Aż raz, gdy człowiek bledszy, niż zwykle, czekał, by odebrać codzienne „Nic niema“, ręka listonosza znikła w torbie i po chwili wyłowiła z niej biały list. Człowiek ręki nie wyciągnął, tylko raz stawał się czerwieńszy od czerwonych sztachet; to znów bledszy od białego listu, aż zgiął się w kolanach i opadł czarnym strzępem na zieloną trawę. Listonosz pochylił się nad nim i biały list na czarnej kamizelce położył. — — —

Ja także z udanym, jakże śmiesznym spokojem czekam codzień na rogu ulicy, o pień latarni oparty. Gdy zobaczę listonosza, który zawsze przynosi dobrą nowinę, szybko przechodzę na drugą stronę ulicy, bo gdyby ręką sięgnął do torby . . .

Czekam codzień i nigdy nie pytam. Czekają moje drzwi, całe zasłuchane, z zawiasów się ku schodom wyrywające . . .

ADAM POLEWKA

GOŚCIŃCE

Przerażają mię białe, dalekie gościńce,
przydrożnych pyłów w słońcu przeraźliwa jaśń.
Przez świat się kręcą wiecznym, bezustannym młyńcem,
tysiącem, z kłęba Dali, wysnuwanych pasm.

Ścielą się, niby skrawki olbrzymie papieru,
które schwycił linotyp — gigantyczny świat,
i kładzie na nich szybkie, bezwładne litery,
słów dziwnej opowieści chaotyczny grad.

Ku baniom błękitnawym sennych widnokręgów
biegną zmory — gościńce skrętem długich szyj —
bez końca pod stopami błędnemi się lęgną
kłębowiskiem zdradziecko wijących się żmij.

Schwyciły mię pętlami ramion nieskończonych,
patrzą mi w twarz tęsknotą zagadkowych bielm,
rzucają mną, jak piłką, w wszystkie świata strony,
w kierunku, gdzie się czai niewiadomy cel . . .

KONFESJONAŁY.

Mroczna nawa ostrzami mgławych świec pokłuta,
Kamiennych wizerunków nieruchomy letarg . . .
W wnękach konfesjonałów widma w czerni sutann
I jak liście więdnącej wiary-stuł fiolety . . .

Mroczna twarz, nieruchoma, jak freski świątynne
W cień wsiąka . . . w pasmach sepji brunatnej się gubi.
I druga twarz, ugięta pod ołowiem winy
Wyszlochująca grzechy, jak żrący krew rubin.

Szare grzechy człowiecze . . . Pokaz skromnych kalek,
Rewja sińców i wrzodów, rachitycznych członków . . .
Ziewanie ust i senny mrok w konfesjonale,
I otłuszczenie serca pod komży koronką.

„Absolvo te“ bezmyślne . . . „5 Ojcze nasz, Zdrowaś“...
Wyroki z ust znudzonych sumień alchemistów.
. . . W krepie godzin wieczornych twarz bolesną chowa
Dręczony, od stuleci krzyżowany Chrystus . . .

ALINA BUTRYMOWICZÓWNA

CZŁOWIEK

Narodziny i śmierć —
Kołyska i mogiła.

Dwa odległe, a tak bliskie brzegi, któremi płynie rzeka dni, idąca w przestrzeń przyszłości.

Dwa słupy zamykające wieczność ziemską.

Życie je spina jakby tęczą z białych i czarnych świateł.

Tą bramą zdążają dni do domostwa zwanego wiecznością, potykając się na grudach grzechu i łez, drogą, którą serce zaściela szkarłatem miłości i posypuje popiołem skruchy.

A u progu świetlicy Bóg wita uśmiechem jakim jeno matka w chwilach szczęścia uśmiecha się:
Synu! — któryś błądził . . .



KOT

Na krawędzi okna stoi kot.

Z cienia pokoju wychyla nogę ku smudze światła, dotyka go, jakby
miód z plastra jasności, podnosi i oblizuje.

Słodycz jasności w mroku gaśnie.

Drugi raz i trzeci to samo.

Sądzi, że to złote mleko w naczyniu blasku . . .

Cień wciąż napływał i owijał łapę —

Myśl zamroczyła chwilę złudy.

Żal mi kota, który nie mógł pokosztować miodu słonecznego...

OSTATNIE SPOJRZENIE

Spojrzał na ziemię ostatni raz. Słońce gromnica przysłoniła.

Zamknął oczy.

I zasnął . . .

Na drugim świecie się obudził i ziemskim wzrokiem

patrzał w oczy Boga.

I Bóg radował się i smucił, poweselał i zapłakał.

W sercu Boga pomieszały się godziny człowiecze — —

JAN WIKTOR

KOŁOWRÓT

Sto mszy, nabożeństw we mnie żyje,
uwielbiam Boga, wieczność piję,
kołowrót bytu myślą pędzę,
ale nie jestem wcale księdzem!

Wystrzelam w niebo zdań naboje,
zatapiam w morzu słów heulboje
i władam myśli manlicherem,
ale nie jestem inżynierem.

W wszechświat eteru ślę sztafety
na marsach, słońcach znaczę mety,
w uszach mi wystrzał startu szumi,
ale nie jestem żaden Nurmi.

Dopiero kiedyś w biały wieczór,
po wielkim z śmiercią fotbalmeczu
dostanę w niebie z gwiazdy żeton,
za to, że jestem tu . . . poetą.

KRZYŻE

Słuchajcie: Ja miałam czterech jak topole synów —
wszystkich wytłukli w bohaterskim boju
i każdy wielce zasłynął.

Dziś nie mam synów, ale mam w pokoju
nad głową mego spłakanego łóżka,
zawieszone na małych, pozłacanych uszkach
cztery
olbrzymie ordery.

Piękne są. Dwa z nich to błyszczące krążki,
a dwa znów . . . krzyże, ubrane we wstążki
piękne, piękniejsze niźli moje dzieci!
Z mych synów żaden tak złotem nie świecił,
w takich nie chodził jedwabistych szatkach.

Cóż więc dziwnego, że ja stara matka
zapomniałam o moich synach bohaterach —
a zakochałam się na śmierć w orderach.

Ale powiedźcie mi, dlaczego
łzy mi po zmarszczkach szarej twarzy biegą,
ilekroć oczy do ściany przybliżę
i głaskam okiem pozłacane krzyże.

Powiedzcie głupiej, nierozumnej matce,
czemu co wieczór, gdy strach z nocą gada,
musi na łóżku zatroskana siadać —
tak jej się tłucze serce w dusznej klatce . . .

Powiedzcie, kto duszę jej gładką
zepsuł i zazdrość w niej żółtą rozniecił,
że dziś nie może spojrzeć w oczy matkom,
które kochają nie krzyże — lecz dzieci!

MICHAŁ RUSINEK

WSPÓŁCZESNOŚĆ

Pustką upił się martwy, zbezbożniony kościół —
Fresków spróchniałe otocza kurzem siwieją.
Szarada giętkich sprzeczności
Odpromienia na ekran niepisane dzieje.

Pstre zbiorowiska wrażeń, jak jesienne liście,
Gniją w chaosie od lat opuszczonych bibljotek.
Pękły półki ksiąg pełne, prorocze wróżących przyjście,
Sypiąc obficie foljały starością złote.

Więc prawdy posągiem się stała bezczynność głazu,
Wygodna, jak chybotanie dziecinnej kołyski
I zamilkł ten, który niegdyś w twarz rzucał wszystkim:
— Trzeba być zimnym, lub wrzącym, jak roztopione
[żelazo.

JULJUSZ FELDHORN

